Lwów, 19. Sierpnia. №99. Rok 1854.

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr — półroczna 3 Złr — kwartalna 1 Złr 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 $1/2$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

VIII.

(Ciąg dalszy).

Atoli robota ta, pomimo usilnego zajęcia się nią, szła mu jakoś niezgrabnie; wieńce były jakieś nierówne i ciężkie a bukiety nie były piękne ani doborem kolorów, ani formą całości. Daleko piękniejsze umiał on splatać wieńce z tych kwiatów, które mu wieczorami rozmarzona przynosiła fantazya, w daleko zgrabniejsze bukiety umiał on wiązać te myśli, które zbierywał niegdy po różnych xięgach! I to mu przyszło na myśl w tej chwili, i już się puszczał drogą obłędną dawnych swych marzeń, kiedy nagle pomiędzy drzewami w gęstwinie błysnęło mu coś białego, a nim się zerwał z pod drzewa, wczorajsza Dziwożona stała już po tamtej stronie brzegu, z jakimś nieodgadnionym uśmiechem, przypatrując się jemu. Była ona dzisiaj całkiem w bieli ubrana i białe drobne kwiateczki ubierały jej głowę, koło niej stała znowu wczorajsza sarneczka, tylko pieska nie było. Przystąpiła ona do brzegu powolnym krokiem, i przypatrywała sią Kamilowi ciekawie; i na jej twarzy nie było widać żadnego zdziwienia,— snać także przeczuła naprzód, kogo tam obaczy nad Jarem..... ale udała zdziwienie, mówiąc śmiało miast powitania:

— A! paniczowi widzę podobała się kąpiel wczorajsza, kiedy dzisiaj znowu tu przyszedł.

— Wiele razy będę wiedział, że panna tu będzie, — rzekł na to Kamil,— tylę razy niezawodnie tu przyjdę.

— Choćbym cię nawet za każdym razem do jaru strąciła?

— Ja myślę, że ty-byś mnie już drugi raz nie strąciła..... i wczoraj pewnieś mnie strącić nie chciała.... ale gdyby nawet, to jeszcze zawsze-bym przyszedł.

— Toś ty rycerz odważny, paniczu! — rzekła na to z ironiją swawolną dziewczyna, — ale przecie ja temu nie wierzę, póki mnie nie przekonasz.

— Jakżesz ciebie przekonam?

— Jak? wstąp zaraz na mostek, a ja cię strącę.

— Dobrze, — rzekł bez namysłu młodzieniec, — jeżeli mnie strącić potrafisz. I to mówiąc, przystąpił do owego konaru, służącego za przejście przez przepaść i stanął na nim w tem samem miejscu, z którego wczoraj się zsunął, i piękna swawolna już się zamierzyła jakimś bukietem kwiatów na niego, ale wnet upuściła rękę i rzekła:

— Ale nie, nie, już tobie wierzę.

— Jeżeli chcesz, — rzekł Kamil stojąc zawsze na śliskim konarze i udając już prawdziwego rycerza, — to ja sam skoczę tam na dół.

— O nie, nie! daj pokój mógł-byś się zabić, — zawołała przestraszona dziewczyna, lecz zaraz dodała z filuternym uśmiechem, — a szkoda-by było tak pięknego panicza.

— Szkoda? — rzekł Kamil z uśmiechem zadowolnienia, — dziękuję, dziękuję, i za to rzucę ci wieniec kwiatów, które'm sam dzisiaj nazbierał. I zstąpiwszy na powrót na brzeg, wziął najpiękniejszy wieniec z pod drzewa i rzucił go zgrabnie wprost na dziewczynę. Ona schwyciła go w rękę w powietrzu a przypatrzywszy się jemu, zawołała ze śmiechem:

— To to się wieniec nazywa u ciebie! och! ty niezgrabiaszu paniczu! któż taki wieniec plecie! Masz, mnie-by ręka odpadła, żebym go chciała zanieść do domu.

I odrzuciła mu na powrót ten wieniec, lecz zaraz za nim rzuciła drugi, mówiąc;

— Patrz! oto takie trza splatać wianuszki!

Kamil nie uchwyciwszy z nich żadnego w powietrzu, zaczął biegać za niemi. Podejmujac je każdy z osobna ze ziemi, i to tak zabawiało swawolną dziewczynę, że nie tylko jeszcze jeden wieniec i jedną równiankę rzuciła na tamtą stronę, ale pozbierała prędziutko z pod dęba wszystkie wczorajsze wianuszki i kwiaty i wszystkie tam porzucała, starając się każdym z nich trafić w plecy chylającego się ciągle młodzieńca. A kiedy już z nich wyrzuciła ostatni, zaczęła klaskać w ręce, i śmiać się i z dziecięcą pustotą skacząc przez snujące się po wierzchu ziemi grube drzew starych korzenie, zniknęła w gęstwinie.

Po jej tak nagłem zniknieniu Kamil stanął na brzegu jak głupi, i naprózno wytężał wzrok w nieprzejrzaną ciemnicę puszczy; a tymczasem w innem miejscu, gdzieś w górze na lewo, dał się mu słyszeć ten sam śmiech pusty, swawolny, i ta sama mignęła sukienka. Skoczył młodzik w tę stronę, wzdłuż brzegu pędząc co siły, lecz nim dobiegł na przeciwko tego miejsca, na którem głos słyszał, już tam nic słychać ani widać nie było, — i znowu sam stanął zdziwiony, patrząc w las gęsty i złorzecząc głębokości nieprze-

bytego jaru. Lecz za chwilę znowu gdzieś wprawo na dole odezwał się ten sam głos, i ta sama błysnęła sukienka. Kamil się rzucił w dół brzegiem, lecz znowu nim dobiegł do miejsca, wszystko ucichło i znikło. I nareszcie nigdzie już nie mógł dojrzeć niczego, — tylko gdzieś w głębi lasu odezwały się znane mu tony wczorajszej piosenki, które oddalając się ciągle i słabnąc, utonęły nakoniec na dnie pustyni i całkiem zamarły.

Pomimo to wszakże długo jeszcze Kamil tam siedział nad brzegiem jaru. Był on zdumiony, oczarowany, ogłuszony na wszystkich zmysłach. Najdziwniejsze jakieś uczucia kłębiły się w jego sercu, zamglone myśli snuły mu się po głowie. Nareszcie po długiej bezprzytomności rozjaśniło się trochę w jego głowie, — lecz tylko dwie myśli wypłynęły z tego odmętu: powieść starego wachmistrza o dziwożonach, i przeświadczenie wewnętrzne, że niemasz dziwożon na świecie. Te dwie myśli stanęły do walki ze sobą i rozpoczęła się energiczna i zawzięta batalia: wszakże nie musiała jeszcze dziś żadna strona zwyciężyć stanowczo, bo Kamil dziwnie zmięszany i niespokojny przyszedł przed zmrokiem do domu, a w nocy zrywał się ze snu, jak gdyby w gorączce, i prawił w głos coś dziwnie od rzeczy.

Obok jego pokoju miał swoją sypialnię pan Bonawentura, i przez drzwi wpół-otwarte słyszał wszystkie te głośne marzenia. — Lecz na drugi dzień rano nic o tem nie wspomniał synowi, przyczyny bowiem tego gorączkowego usposobienia młodzieńca domyślał on się wcale gdzie indziej i sądził, że żadne środki perswazyi na to nic nie pomogą. Dlatego też po obiedzie, siedząc ze swoim starym towarzyszem w izbie jadalnej, tak rzekł do niego:

— Powiadałeś Waść, Panie Janie, że kiedy Kamil zamieszka z nami, zrobi się i nam i dworowi i całej wiosce weselej. Nie wiem. jak tam jest waści, ale mnie od czasu jego przybycia tylko jeszcze się smutniej zrobiło.

— Hm! — rzekł Szłyk nato, — już to prawdę mówiąc, i mnie nie weselej. Bo i trudnoż ma się człek rozweselić przy takim, który chodzi jak mruk, słowa do nikogo nie pomówi i wygląda tak, jakby był na śmierć skazany! Otóż to młodzież dzisiejsza! Quintum diabłum mospanie! jabym jeno rad wiedział, czego też oni chcą od tego świata, że się tak na niego gniewają?... Ale licho się tam dowie czego od nich! Mówią oni niby-to po polsku, ale snać prędzejbym rozumiał tureczczyznę, niżeli ich polszczyznę.

— Czasy-to, czasy! mój panie Janie, — zauważał pan Bonawentura, — wszystko dzisiaj inaczej widzą na tym świecie, niżeli było wtenczas, kiedy my byliśmy młodzi. Lepiej to dziś albo gorzej? sądzić nie będę, bo każde pokolenie tworzy sobie swój świat wedle swojej woli, a nikt pewnie sam niechce nieszczęścia dla siebie. Nie dla nas to, to co nam do tego? Ale to przecie trudno zaprzeczyć, że naszych czasów, jakkolwiek tam było na tym naszym świecie, (a Bóg sam wie najlepiej, jak kwaśno i gorzko nieraz bywało,) jednak ludzie byli zawsze jakoś rzeźwi, weseli i czerstwi, a gdzie już nic znaleźć nie było można, toż jeszcze zawsze znalazło się serce zdrowe i dobrą fantazyę. Dzisiaj... proszę patrzeć na młodzież!

I tak dalej wymyślali starzy na nowe czasy, których zrozumieć nie mogli, jak zwykle starzy, — a Kamil tymczasem już siedział nad pogańskim jarem. I dzisiaj znowu pojawiła się Dziwożona, były znowu pustoty i śmiechy, bez żadnej myśli, bez celu, bez świadomości nawet, jak zwyczajnie pomiędzy dziećmi, w obec pięknej wiosennej natury, w obec kwiatów, i drzew, i bujającej zieleni.

I odtąd codzień już odbywały się te schadzki ich nad przepaścią urwiska.

Nie umawiali się nigdy, a zawsze się jakoś znaleźli.

Czas ich wzajemnej zabawy z każdym dniem się przedłużał, lecz oni o tem nic nie wiedzieli.

Z każdem dniem coraz więcej się ośmielali do siebie, lecz znajdowali to tak naturalnem i prostem jak wszystko, co się działo koło nich.

Nie myśleli o żadnej różnicy pomiędzy sobą, nie było nigdy mowy o ich stanach wzajemnych, o ich stanowiskach w towarzystwie ludzkiem, o nazwiska się nawet niezapytali: wygadali się tylko przed sobą, że jedno z nich się nazywa Kamilem, a drugie Adela, a wszystkie inne względy zniknęły im z myśli w obec tej wielkiej i pięknej natury, i stali się tylko ludźmi, stworzeniami Bożemi na ziemi, w tych stworzeń hierarchii, lecz między sobą jak najzupełniej równemi.

Wszystko, co ludzki rozum wymyślił, co utworzyła sztuka, co uświęciły długoletnie zwyczaje, wszystko to nie mąciło im głowy: oni udzielali się sobie li sercem i serce im wystarczało.

I byli swobodni, weseli, szczęśliwi, jak dzieci pustując w ogródku oddanym im na swawolę, jak nigdy ludzie pomiędzy ludźmi być nie potrafią.

I tak minęło im dni kilkanaście.

Nigdy jeszcze dotąd nie przyszło żadnemu z nich na myśl, przejść jakim sposobem przez przepaść dzielącą ich od siebie, zbliżyć się więcej ku sobie, swawolić razem, ręka w rękę i tuż koło siebie.

Aż dnia jednego przypadkiem...... zwykliśmy wszystko nazywać przypadkiem, czego tuż zaraz bliskiej nie widzimy przyczyny... Otóż dnia jednego przypadkiem przyniosła dziewczyna koszyk wisien ze sobą. Jadła ona je siedząc pod cieniem rozłożystego dębu, i każdą drugą rzucała Kamilowi na tamtą stronę. Ale Kamil, jak zawsze do takich rzeczy niezgrabny, ani jednej z nich nie złapał w powietrzu, i nawet żadnej na ziemi nie znalazł. To z początku bawiło ale nakoniec zniecierpliwiło dziewczynę. Ona chciała koniecznie podzielić się jagodami z młodzieńcem. Kamil niemiał nic przeciw temu, owszem chciał nawet koniecznie przyjść do tych wiśni, nie przez łakomstwo, ale dla tego, że z jej rąk pochodziły. A ponieważ na to innego nie wi-

dział sposobu, więc ją prosił o pozwolenie przejścia na tamtą stronę. Dziewczyna nie pozwoliła i bardzo mu tego wzbraniała, ale uśmiechała się przytem naiwnie. Kamil się wahał sprzeciwić jej woli, lecz kiedy zamiast uśmiechów naiwnych zaczęły się z jej ustek różowych sypać dotkliwe przycinki a nakoniec i zręczne szyderstwa, Kamil się zdecydował i przebiegł prędko jak ptaszek na drugą stronę.

Zaglądnąwszy sobie w oczy tak z bliska, oboje się z razu zmięszali... odsunęli się o parę kroków od siebie; pospuszczali oczy ku ziemi i nie wiedzieli co mówić. Wszakże po chwili rozwiązały im się usta cokolwiek, i potem coraz lepiej i lepiej, aż nakoniec oswoili się z tem nowem stadium swojego stosunku, i w ich serca dawna wstąpiła swoboda.

Odtąd Kamil codziennie już przechodził na tamtą stronę, i oddechając tem samem powietrzem co ona, depcąc tę samą ziemię i zajmując miejsce tuż przy jej boku, czuł się milion razy szczęśliwszym, niż przedtem. Pomimo to wszakże jego dawna wesołość znikała jakoś pomału, oczy jego nieraz długo i nieruchomie wpatrywały się w jej twarzyczkę uroczą, a z piersi mimowolnie się wydobywały westchnienia. Ale ona była wciąż jednakowa, wszystko to ją bawiło, wszystko było dla niej wesołem i z wszystkiego się śmiała.

W parę dni potem Kamil z zapałem przyciskał jej rękę do ust swych gorączką spalonych, a dziewcznya i z tego się śmiała.

Dnia następnego jego ramię objęło jej kibić wysmukłą, głowy ich pochyliły się ku sobie niechcący, a ich usta spoiły się długiem, nierozerwanem pocalowaniem..... Kamil wzdychał potem i cisnął z głębokiem uczuciem jej drobną rączkę w swych dłoniach gorących.... ona posypywała mu kwiatki na głowę, szczebiotała coś dziwnie wesoło i jeszcze zawsze się śmiała.

Lecz dnia jednego, po długiej ciszy solennej, śród której słychać było tylko gwałtowne dwojga wzburzonych serc bicia i głębokie, z głębi duszy się wydobywające westchnienia, — dziewczyna się nagle wydarła z objęć zapłomienionego młodzieńca, i jakby ptak z gniazda spłoszony, uciekła. Kamil słyszał tylko szelest jedwabnej sukni znikającej w gęstwinie, i został całkiem nieprzytomny i jak gdyby zaklęty pod drzewem. Krwawy smutek objął jego rozlane serce, rozpacz opanowała duszę, bo myślał, że dziewczyna już nigdy nie przyjdzie... Lecz na drugi dzień o zwyczajnej godzinie przyszła ona jak zwykle. I była tak, jak gdyby nigdy się nie gniewała, wesoła, naiwna, trzpiotająca się, gadatliwa.

Uszczęśliwiony Kamil nie posiadał się z radości i szczęścia.

Odtąd nic już nie mąciło ich schadzek wzajemnych. Szczęście ich było pełne, jak kielich krzyształowy, napełniony miodowym nektarem po same brzegi, jak kwiat stojący w całym blasku swojej świetności na najwyższej grządce ogrodu, patrzącej prosto w słońce samego południa, kąpiący się w balsamicznem powietrzu pogodnej wiosny i otoczony milionami drobnego kwiecia.

Czasem tylko, kiedy ręka w rękę i oko w oko tak siedzieli przy sobie, nagle jakaś trwoga nieznana opanowywała ich serca, jakiś lęk nieodgadniony przestraszał ich dusze.... czasem ptak zrywający się z gałęzi wstrząsał ich nerwy, nieraz listek wiatrem ruszony odwracał ich oczy od siebie.... lecz to mijało prędko, nie zostawując prawie żadnego śladu po sobie. Jednakże ta szczęśliwość jakaś, której nie pojmowali powodu, ten niespokój wewnętrzny, który się w nich chwilami odzywał, nasuwał Kamilowi różne myśli, niejasne wprawdzie, lecz bardzo tęskne jakieś i smutne.

Jakoż dnia jednego, klęcząc u nóg swojej leśnej bogini, siedzącej na wywróconym pniu starej jodły, westchnąwszy głęboko, temi odezwał się słowy:

— Ach! moje życie, tak nam tu dobrze, tak błogo, że o takiem szczęściu nie śmiałem nawet nigdy zamarzyć we śnie. Wychowany pomiędzy martwemi xięgami od dziecka, oddany pracy bez odpoczynku, zatopiony w bezednych stawiskach ludzkiego rozumu, i błąkający się po szarych światach wybujałych fantazyi, nie wiedziałem nawet jak wygląda ta ziemia, jak pięknem na niej stać może się życie i jak czarującemi są jego rozkosze. Tyś mi dopiero otworzyła wrota do tej rajskiej krainy, tyś jej wszystkie wdzięki i skarby roztoczyła przedemą, tyś odżywiła mi serce, tyś je napełniła miłością i wskrzesiła w niem wszystkie uczucia; a jeżeli mam Boga, który mnie stworzył w wieczności, tom w tobie znalazł anioła, który mnie zaprowadził w świat życia i szczęścia, i to oboje oddał mi w posiadanie.... Lecz kiedy myślę nad tem, i cieszę się w głębi mej duszy temi drogocennemi darami, którem otrzymał od ciebie, i zapuszczam się w przyszłość nieodgadnioną i ciemną: to mnie nieraz straszna obejmuje trwoga, drzę cały i obawiam się nawet o krok postępować za teraźniejszość....

— I czegoż ty się boisz, mój drogi? — spytała niewinna dziewczyna.

— Boję się... ja sam nie wiem... boję się każdego mojego uczucia, każdego drżenia mojego serca... boję się każdej chwili, każdego jutra, każdej myśli wciskającej się w przyszłość....

— Hm hm hm! — przerwała dziewczyna ze śmiechem, — panicz zaczyna coś fantazyować.

— Słuchaj mnie moje życie! — zawołał Kamil, — ale ja wiem, że to jest tylko choroba przelotna... to jest chmura, którą ty jednem słowem, jednem skinieniem głowy rospędzisz..... tyś mi jeszcze nigdy nie powiedziała, że mnie kochasz, że mnie kochać będziesz na zawsze i na wieki, tak jak ja ci to codzień powtarzam. Słuchaj mnie mój aniele! jedno słówko mi tylko powiedz, jedno: wiecznie!

wymów patrząc mi w oczy, a podniesiesz moje szczęście do szczytu, uleczysz mnie w oka mgnieniu i dasz wytrwałość i siłę, że się stanę niewzruszonym, jak ten dąb, który szumi nad nami i zwalczę wszystkie burze i przeciwności, które-by kiedykolwiek nam obojgu śmiały stanąć na drodze.

— Ach! co też ty szczebioczesz papugo! — zaszczebiotała dziewczyna, — co tobie myśleć o przyszłości? o jutrze?... dzisiaj jest nasze, a jutro?... jutro będzie takie same jak dzisiaj.....

I pocałunkiem zamknęła mu usta, i śród podwójnych pieszczot i nieustającej pustoty nie dała mu już o tem ni wspomnieć. Kamil po takiej odpowiedzi nie pytał już więcej i zapomniawszy o swojej trosce, rozpłynął się w swoich uczuciach jak wosk w płomieniach.... Lecz kiedy powracał do domu, przypomniała mu się ta dziwna odpowiedź dziewczyny, i jeszcze go zniepokoiła. Dziwnie też smutny i wzdychający wszedł on w dziedziniec ojcowskiego obejścia, a zastawszy obudwóch starców jeszcze zajętych wieczornym gospodarstwa przeglądem, wszedł do pokoju jadalnego, w którym stół stał gotowy już do wieczerzy, i tam czekał na ojca i jego kolegę. (C. d. n.)

Kraków *)

1.

Kto mi określi, kto mi opieśni,
To co i wieczność nie prześni?
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów,
Spłynęły w chór Serafinów.
Schyliłem czoło w pobożnej skrusze,
I w mury wstąpiłem grodu,
Kędy za naród kładli swą duszę,
Opiekunowie narodu.
Sto wież tam wita słońce wschodzące
Śpiewa hejnały pochwalne,
Dawniej jak ręce światu grożące,
A dziś jak ręce błagalne.
Zwiedziłem stary zamek nroczy,
Kościoły i dawne domy,
A w tych przybytkach przed moje oczy
Stawał duch ojców widomy.
Myśl, co do głazów jak tynk przyległa,
Niewyczerpana bez krańców,
To słowo, które wyłania cegła,
Przechodzi w piersi mieszkańców.
Niech nikt nie mówi, że przeszłość mglista,
Lecz że źrenica nie czysta;
Niech nikt nie mówi, że kamień niemy,
Lecz że nie wszyscy słyszemy.

2.

Ze czcią nie w jedną zajrzałem trumnę:
Czoła pogodne, rozumne,
Dłoń na żelazie oparta chrobrem,
Serce aniołów pod ziobrem.
Z jakiem uczuciem konali Starzy,
Na ich obliczach się znaczy:
Jasna powaga patrzy im z twarzy,
A gdy ból, to bez rozpaczy.
W dzisiejszych trumnach jaka namiętność!
Jakie niespokojne śnienie!
Często głupota i obojętność,
A gdy ból, to i zwątpienie!
Hej! inny żywot tamci pędzili,
Żywot świąteczny, wesoły,
Sprawiali uczty, za kraj się bili,
I budowali kościoły.
I w tych kościołach śpią oni błogo,
W rajskie ubrani uśmiechy,
Bo ziemia wielbi ich pamięć drogą,
A Bóg przebaczył im grzechy.
Żółciąby zaszło serce anioła,
Zgrozaby siadła śród czoła,
Dłońby pomknęła do karabeli,
Gdyby nas biednych ujrzeli!

3.

Kto mi określi, kto mi opieśni,
To, co i wieczność nie prześni?
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów,
Spłynęły w chór Serafinów.
Zdobyć się daje wiara wielmożna,
Sercem dziecięcem, prostaczem,
A ojców z grobu wywołać można
Jedynie synowskim płaczem.
Jam ich wywołał! i wszyscy razem,
Wszyscy stanęli przedemną;
Jak z relikwiami, z tym ich obrazem,
Chodzę i żegnam moc ciemną.
I więcej twórczej, wieszczej żałoby,
Więcej duchowej potęgi,
Dały mi wówczas mury i groby,
Niż później ludzie i księgi.
Mamże wystawić skarby zdobyte,
Duchy wyniosłe, to smętne,
Świętych wesela, rany odkryte,
Przed oczy, co obojętne?
Wolę je wszystkie zagrzebać w sobie,
Niech spoczywają jak w grobie,
Z chwały i z cnoty ojców obdarci,
Wyście ich dziejów nie warci!.... U.

*) Z dziennika literackiego.

Haszysz.

(Ciąg dalszy).

Leciałem po puszczy, nie na garbie dromedara, lecz w barce zperłowej macicy, wysadzanej drogiemi kamieniami. Po złotym piasku barka moja bez żadnego szelestu sunęła się, powietrze promieniło się najjaśniejszem światłem, chociaż słońca nie było widać. Oddychałem najcudniejszą wonią, kołysany harmoniami tonów, jakie zapewne Beethoven w swych snach słyszał, ale spisać ich nie mógł. Cała atmosfera była wskroś a wskroś wonią, światłem, muzyką, wznioślejsza nad to wszystko, co zdrowemi zmysłami objąć można. Przedemną na tysiące mil rozsuwał się widok olbrzymiej tęczy, gorejącej blaskiem ametystów, szafirów,

smaragdów, topazów i rubinów. Tęcza za tęczą tysiącami, krociami przelatywały po nademną, gdy moja śnieżnej białości barka pod tą przepyszną arkadą lotem błyskawicy posuwała się coraz dalej. Było to Elizyum dla zmysłów moich najdoskonalsze, jakie sobie myśleć można, bo wszystkie zmysły były roskoszą upojone. Dusza moja rozpływała sią w nieograniczonem uczuciu tryumfalnem, pochód mój był pochodem zwycięzcy i to nie zwycięzcy, który równych sobie podbił potęgą miłości lub woli, ja czułem się zwycięzcą najwspanialszych potęg natury. Duchy światła, barwy, woni, dźwięku i ruchu byli niewolnikami moimi, a ja panem całego świata. Kto obdarzony jest wyobraźnią, choćby trochę nad zwykłą wznoszącą się, ten zapewne w życiu swojem już doznał uczucia, z którego choć w przybliżeniu zachwycenie zmysłów moich podczas tego tryumfalnego pochodu wyobrazić sobie zdoła. Wzniosła okolica górzysta, wielka symfonia przez wielką orkiestrę wykonana, chorał wykonany na potężnych organach, piękność dnia letniego, budzą uczucia, podobne choć nie co do siły, ale przynajmniej co do natury swej do wrażenia, jakiego ja doznałem. Uczucia podobne pochodzą z czystej zmysłowej uciechy, która nas nie poniża, ale przeciwnie materyalną część naszą uduchownia i uszlachetnia. Ten zmysł delikatniejszy, idący środkiem między materyalnemi a duchowemi skłonnościami naszemi, rozbudził się nagle we mnie do niesłychanej wysokości, i doznałem wrażenia harmonijnego, do którego opisu język ludzki nie wystarczy. Raj Mahometa z pałacami z rubinów i szmaragdów, wonią ambry i kassyi i strumieniami, których wody zimniejsze od śniegu a słodsze od miodu, były tylko ubogie pospolite wyrażenia na moje sklepienia tęczowe. Jednakowo w opisie tego raju wybujałej poezyi całego orientu, w przecudnych fantazyach arabskich bajek, poznałem mniej więcej wpływy i skutki haszyszu.

Nadmiar zachwytu trwał także w nieskończoność; chociaż cała wizya zaledwie trwała pięć minut, dla mnie się wydało, iż przez długie lata płynąłem na mem czółnie po pod miriady tęcz olbrzymich. Powoli znikać poczęły tęcze, barka, pustynia z złotego piasku, a ja kąpiąc się w świetle i woni, znalazłem się w okolicy zielonych i kwiecistych błoni, przerzniętych maleńkiemi wzgórzami. Wśród najbujniejszej roślinności niewidać było ani strumienia, ani źródła, a ludzie w lśniących sukniach schodząc na doliny, prosili mię o błogosławieństwo wody. W ręku nieśli powoje kwitnące koralowo, wziąłem od nich te powoje, poodłamywałem kwiaty pojedynczo, i zatknąłem je w ziemię. Wysmukłe trąbki kwiatowe, w jednej chwili zmieniły się w słupy i spuściły się głęboko w ziemię. Krawędzie kwiatu przemieniły się w okrągły otwór z różowego marmuru, a ludzie przechylając się po nad tym otworem, na sznurach spuszczali w dół wiadra i wyciągali je potem napełnione aż do brzegu i kapiące od miodu.

Ale co najdziwniejsza?! W tym samym czasie, gdym się w zaklętem kole przywidzeń moich unosił, miałem oraz najjaśniejsze przekonanie, że jestem w Damaszku, w hotelu Antonia, że zażyłem haszysz, i że te dziwaczne, przepyszne i pocieszne mamidła za jego wpływem mi się pokazują. W tej samej chwili, gdym ze szczytu piramidy bujał oczyma po nilowej dolinie, gdym przemykał po puszczy, albo pod owemi czarodziejskiemi budowlami w krainie bez wody kwitnącej, widziałem oraz sprzęty naszego pokoju, mozaikową podłogę, piękne zasłony u okien, malowany sufit, sofę i na niej obudwu moich przyjaciół, którzy się na mnie wypatrzyli. Zarówno czułem i widziałem najfantastyczniejsze mamidła i najpowszedniejszą prozę rzeczywistości. Zupełnie opanowany czarami, widziałem oraz ich przyczynę i byłem najmocniej przekonany, że to wszystko tylko ułuda. Metafizycy utrzymują, że dusza nie może dwie czynności naraz przedsięwziąć, i ten fenomen zechcą zapewne wytłumaczać przypuszczeniem nader szybkiego i bezprzestannego działania obu wrażeń na mój umysł. To wytłumaczenie nie wystarcza mi, bo najwyborniejszy gracz na trąbce jednym tchem nie może dwa różne dźwięki doskonalej wydobyć, niż ja byłem o tym dwoistym stanie mego umysłu i czucia przeświadczony. A przecie, choć to się bardzo dziwnem wyda, oba te wpływy i ich wrażenia, wcale nie walczyły ze sobą. Rozkoszowałem w czarodziejstwach wizyi mojej, podczas gdy w innnej komórce mojej głowy rozum jako szyderski krytyk siedział i karrykaturował, a przecież roskoszy mojej wcale nie mącił. Tu na strunach nerwów moich drżały dźwięki jakieś rajskie, tam znowu trzęsły się od kurczu spazmowego, niemogąc wstrzymać śmiechu z dziwaczności moich widziadeł. Najwyższe zachwycenie nie mogło przygłuszyć we mnie ów nerw śmieszności, a oraz i ten był bezwładny, gdy chciał mię zatrzymać w szalonym wirze uroczych, próżnych marzeń. Byłem dwoistą osobą, drzewem i cieniem, nie! Sfinxem i zagadką oraz.

Działanie haszyszu na pełny żołądek zażytego, poczęło w całej sile swojej się objawiać. Wizye stawały się coraz dziwaczniejsze i dziksze, niż przódy, ale już nie tak przyjemne; uczułem ckliwe wytężenie całego systemu nerwowego. Zdawało mi się, żem się przemienił w przeźroczystą galaretę, a cukiernik mię w jakieś dziwotworne formy przelewał. Rzuciłem stołkiem, kręciłem i wiłem się czas niejaki, aby ciało moje rozrzedłe w inną formę wcisnąć. Nakoniec gdy już tylko noga moja wystawała, forma się nagle do góry podniesła, i inna jeszcze dziwotworniejsza spuściła się na tamtej miejsce. Ani wątpić, że to łamanie ciała mego, dość pociesznie wydawać się musiało przyjaciołom moim, ale mnie już śmiech wybił się z głowy; jednakowo trzeźwa część umysłu mego nie mogła się wstrzymać od śmiechu z tych wykręcań i przekręcań. Śmiałem się, aż mi łzy w oczach stanęły. Ale co która

łza upadła, przemieniła się zaraz w bochenek chleba, i potoczyła na stół piekarza w bazarze. Toczył się bochenek za bochenkiem, aż się nakoniec tyle około piekarza napiętrzyło, że głowy jego widać nie było; a tu czem więcej z tego śmiałem się, tem więcej łez i tem więcej bochenków padało.

— Na Boga krzyczałem, ten człowiek się udusi, a ja łez wstrzymać nie podołam.

Odtąd już widzenia moje coraz mglistsze stawały się i coraz zawilsze. Czułem się pod ręką jakiegoś olbrzyma, a nie straciwszy ostatku dotychczasowego rozumu, na prawdę lękać się począłem, bo niezmierny ciężar, pod którym się wiłem co chwila się powiększał. Dziki żar buchał mi z żołądka przez całe ciało, usta i gardło wyschły, i stwardniały jak kruszec, język mi stanął jak kawał sztaby żelaza. Pochwyciłem dzbanek, długo i łakomo piłem wodę; ale właśnie, jak gdybym powietrze pił, nie zwilgotniały usta ni gardło. Wyskoczyłem nareszcie na środek pokoju, rzucałem konwulsyjnie ramionami, i dyszałem, jak gdyby się budowa ciała mego rozpaść miała.

— Niktże, jęknąłem, nie odżegna tego szatana, co mię opętał? Już i pokoju nie widziałem, ni przyjaciół moich, tylko szept jakiś, słyszałem ale uderzający w uszy moje jak serce dzwonu:

— Przecie to musi być prawda, takiego wyrazu postaci i lica nie można udać. Ale to nie wygląda przecie na przyjemną zabawę.

Ledwo przebrzmiały te słowa, rozszedł się śmiech szalony a mój ziomek z sofy skoczył na ziemię z wykrzykiem:

— Dla Boga! jam lokomotywą!

I dwie lub trzy godzin odtąd przechadzał się ciągłym wyrachowanym krokiem po pokoju po jednej desce, dął gwałtownie; mówiąc rozrywał słowa w syllaby, które po jednej wymawiał, jak by mu kto je z piersi wytrącał, a przy tem bez przestanku kręcił rękami, jak korbami przy kole maszynowem. Anglik, skoro uczuł, że haszysz i w nim fermentować poczyna, odszedł przezornie do swego pokoju, a co tam z nim się działo, nigdyśmy się nie dowiedzieli, bo sam o tem grobowe zachował milczenie i żonie toż samo surowo nakazał.

Już północ była. Bujałem dotąd po niebiańskiej dziedzinie haszyszu, odtąd miałem przebyć piekielne męczarnie jego. Niedoświadczony zażyłem, jak mi to potém wyjaśniono, taką ilość, którąby dla sześciu wystarczyła była, i okropnie musiałem za nierostropność moją pokutować. Wzburzona krew szalała, szumiała mi w żyłach, jak wezbrany strumień górski. Biła mi do oczu, żem aż ociemniał, w uszy i w serce uderzała jak młotem, żem myślał, iż mi nakoniec żebra się rozpękną. Rospiąłem kamizelkę, rękę położyłem na sercu, chciałem liczyć uderzenia pulsu; ale uczułem, że mam dwa serca; jedno biło tysiąc razy na minutę, drugie poruszało się leniwo i nieznacznie. Zdawało mi się, że krew mi aż do gardła buchnęła, i strumienie jej z uszów tryskały; czułem ciepło, jakby mi się po licu i plecach zlewała. W szaleństwie, w rozpaczy umknąłem z pokoju na dach płaski. Ciało moje się ściągało, kurczyło, kośniało, walczyłem na zabój z demonem, lice i ręce mi pochudły jak szczypy. Kilka wierszów, które przed laty w Mrs. Browninga poemacie: *Rhyme of the Duchess May* wielkie wrażenie na mnie sprawiły, stanęły mi w pamięci:

«A rumak z zgrozy skośniały,
Przedniemi nogi w powietrzu kołysze,
Zadniemi spiął się na krawędzi skały,
A pod nim w mroku czarna otchłań dysze.
I stanął dęba, nozdrza mu zimnieją,
Bok pianą skryty, jak śniegów zawieją,
Szklą się źrenice, muszkuły nabrzmiały,
Skóra się w licu zapadła, drzy cały.» (D. n.)

O podróży Haxthausena po Rossyi.

Znana powszechnie, przynajmniej z cytacyj dzienników, jest podróż Haxthausena po Rossyi. Francuzki pisarz Gustav de Beaumont, który przed kilku latami wydał podobne dzieło o Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, donosząc o tem dziele i pisząc rozbiór jego, skreślił w trafnych obrazach przyrodzone siły Rossyi w porównaniu z Stanami Zjednoczonemi. Z ważnej tej rozprawy zamieszczamy tu ciekawsze ustępy:

«Ożywiony jedynie zasadą wolności wznosi się i rozwija po drugiej stronie Atlantyku naród wielki, który cudnemi swemi postępami świat w zdumienie wprawia; na Europejskim kontynencie kwitnie i wzrasta w nieskończoność państwo inne pod skrzydłem w prost przeciwnej zasady nieograniczonego Samodzierztwa. Nie chcemy tu rozstrzygać pytania w którem z tych dwóch społeczeństw, w Amerykańskiem czy Rossyjskiem człowiek szczęśliwszym być może; to jedno pewna, że obadwa powiększają się ciągle, jak gdyby o zakład jedno drugiemu równego kroku dotrzymać chciało. Tu i tam to samo dążenie do rozszerzenia granic swych przez podbój i kolonizacye, to samo posuwanie się, tu ku Bosforowi, tam ku cieśninie Panamskiej; tu i tam niezmierzone lasy, które siekiera obala, a pług uprawia; tu i tam obfite żniwa, które zbożem zaopatrują wszystkie targowice świata; tu spichrze Odesskiei kopalnie sybirskie tam kopalnie w Kalifornii i plantacye bawełny Nowego Orleanu. Tu wojsko lądowe, którego liczba millionu sięga, tam marynarka handlowa, równie milion statków licząca. Rozważywszy to równoczesne rozwijanie się obu narodów, mających wprost przeciwne instytucye, zdumieć się musimy nad rozmaitemi środkami, których tak despotyzm jak i wolność używa, aby utworzyć społeczeństwa i państwa; zdziwić się musimy nad jednakowem postępowaniem obydwu tych państw, które choć

sposobów i dróg rozmaitych a często odmienych używają do jednakowych przecież przychodzą rezultatów.

Chcąc porównanie między temi dwoma państwami uczynić, trzeba obadwa kraje samemu zwiedzić. W Zjednoczoczonych Stanach łatwo to uczynić, bo dla każdego podróżnego są otwarte, oprócz tego koleje żelazne i parowce ułatwiają nadzwyczajnie podróż. W Rossyi przeciwnie trudno obcemu bliżej przypatrzyć się instytucyom i narodowi, a przyznam się otwarcie, iż podróży po Rossyi nie odbywałem i wcale sobie tego nie życzę. Brakowałoby mi więc chcąc czynić porównania, własne przekonanie się o wszystkiem, gdybym niemiał pod ręką dzieła znakomitego Niemca p. barona Haxthausen. On w r. 1846 i 1847 podróżował po Rossyi, i w tak pomyślnych stosunkach, jakie nie rzadko komu się nadarzą. Chcąc Rossyą zwidzić, potrzeba przedewszystkiem dwóch rzeczy, które trudno ze sobą pogodzić Najpierw: jak do każdej podróży bystrego sądu dostrzegania wszystkiego, powtóre wszystko bezwzględnie podziwiać trzeba, bo tylko pod tym warunkiem podróżować tam wolno. Bar. Haxthausen rzetelny admirator Rossyi z jej instytucyami politycznemi i stanem socyalnym znalazł wszystkie drzwi dla siebie otwarte i wszędzie gościnne przyjęcie, mógł on wszystkiemu zbliska się przypatrzyć i najswobodniej podziwiać. To podziwianie wyjednało mu przystęp wszędzie lecz z drugiej strony zamknęło mu oczy. Mógł widzieć wszystko ale z przymkniętemi oczyma albo nic nie widział, albo wszystko przewrotnie. Szczęściem, iż dobroduszność barona była większa, niż chęć podziwiania. Opisuje więc wszystko, co mu się wydarzyło, chociaż czasem te fakta wprost przeciwne są jego zdaniom i sympatyom. Największy stronnik Rossyanów, często w swej dobroduszności opowiada zdarzenia w najgorszem ich przedstawiające świetle. On nieoszukuje Rossyi, bo ją wszędzie i za wszystko podziwia; on nieoszukuje i czytelnika, bo mu wszędzie prawdziwe daje fakta. Fakta i sąd o nich ściśle od siebie rozróżnić potrzeba; nie jedno zdarzenie, które mu dało powód do obszernych pochwał właśnie przeciwnie do najostrzejszej nagany posłużyć może, loice jego dowierzać nie można, uczciwości zaś przeciwnie. Lecz cóż na tem zależy, iz rezultata wyprowadza fałszywe; mając cyfry prawdziwe, mniejsza oto, każdy sam sąd wydać może; opiłki i żużel to sądy pisarza, czystym kruszcem to fakta, które Haxthausen najsumienniej podaje. Z tego opisu podróży napisanego bez talentu, tyle przekonałem się, iż można z autorem odbyć podróż po Rossyi nie opuszczając swego pokoju. Haxthausen mówi głównie o gospodarstwie narodowem w Rossyi, o wzroście przemysłu, handlu, wewnętrznej kolonizacyi, o stosunkach socyalnych miast i klassy rolniczej. Są to fakta, które nam do porównania Rossyi z Ameryką posłużą. Powiedzieliśmy, iż oba państwa dążą do podbojów, do nowych zdobyczy, lecz podboje te odmienne są w Ameryce od Rossyjskich. Stany Zjednoczone dążąc do zajęcia Texasu, Kalifornii, Mexyka niepostępują sobie jak Rossya, zabierająca Krym, Kaukazyę lub Multany; nim Stany Zjednoczone przyłączą jakiś kraj do Unii, to już obywatele amerykańscy zajęcia tego faktycznie pierwej dokonali. Obywatele ci idąc za natchnieniem swem awanturniczem, za swą niezmordowaną czynnością wpadają do sąsiedniego kraju nie z orężem lecz z pługiem w ręku; cisną się tam, osiadają, najurodzajniejsze krainy przyswajają sobie, budują domy, kanały, koleje żelazne, usławniają rzeki, jednem słowem są panami kraju, zanim jeszcze powstała kwestya, czy mają go przyłączyć do swojej Unii czy nie. Rząd nie miesza się wcale w to przedsiębiorstwo, często jest mu nawet przeciwny, i wydaje najsurowsze zakazy, podbój odbywa się tam bez wojska, czyli właściwie podbijającem wojskiem są koloniści, jest naród, który się wszędzie wciska gdzie może, gdzie znajdzie niezajęte miejsce lub puszczę, którą-by uprawić można. W końcu dopiero występuje rząd, i dokonanej przez awanturników prywatnych uzurpacyi nadaje charakter publiczny, przyłączając nową gwiazdę do szeregu dawniejszych.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Ze Złoczowskiego.** Nie wiem czy bieda wszędzie jednakowo się prezentuje u nas, czy mój powinowaty sposób zapatrywania się rozszerza się w kraju, dość że przeczytawszy korespondencyę *sociusza doloris:* „Z nad ujścia Wisłoki" znalazłem w niej to wszystko com dosłownie prawie miał już napisane, tak iż nie mogłem nic mędrszego z gotową korespondencyą zrobić jak takową czem prędzej w ogień rzucić.

Dodałbym ja jeszcze nie jeden szkic do uzupełnienia tego, nie bardzo zajmującego obrazu, lecz boję się aby miejscy panowie nie powiedzieli: «że dawniej szlachta nie umiała jeno jeść i pić a dziś kiedy zaprzestała już pić a w krótce i jeść, umie tylko narzekać.« Wszak i tak ma się nam doskonale powodzić!

Przy tem przypominam sobie, jak spotkałem raz we Lwowie, po tężnie Bocksbirem nalanego jegomości, który widząc szlachcica jeszcze czterma, choć już mocno przechudłemi szkapami jadącego, z grozą zawołał: «Jeszcze im się zanadto dobrze powodzi, kiedy czwórką jeździć mogą.»

Lecz wracam do tego co nas boli, I u nas trudno zebrać z pola z braku, jak wszędzie rąk roboczych. Ten brak osobliwie przy głównych traktach nadzwyczajnie czuć się daje.

Co się tyczy ceny zboża, to jest prawdziwie szaloną i *u nas* lecz *nie dla nas.* Raz że mało który szlachcic ma już co na sprzedaż; ponieważ, jako wierny a bezpłatny ekonom *za kaucyą* jakiegoś lwowskiego Salomona trudni się zbiorem, a na przyszłość wymłóceniem i dostawą dawno sprzedanego zboża, a powtóre: że sprzedawanie wprost do magazynów to nie rzecz szlachecka.

— A to dla czego? zapyta znowu który mieszczuch.

— Nie wiem dobrze, bom kolosalny ignorant w stosunkach socialnych, lecz przytoczę tylko prawdziwą historyjkę.

Podczas przechodu Rossyi w r. 1849, pewien biedny arendarz we wsi U. miał okropnie zamulone i zgniłe siano w lesie w stogu złożone. Kupca na niego ani rusz znaleść. Cóż więc robić? Szlachcic dałby mu zgnić, agronom jaki wyniósłby na oborę. Lecz takie głupstwa tylko po książkach piszą, a żyd ma rozum lepszy, bo nie z książki. Oto posyła on wójta do magazynu i każe mu denunciować: „iż żyd

arendarz ma siano w lesie przed liwerunkiem ukryte.» Koncept uwieńczony skutkiem. Nazajutrz cała wieś forszpanami przytransportowała ex officio siano do magazynu.

Żyd w płacz, desperuje najrzetelniej, rwie pejsy, bachory rozbija żonę tłucze, i pogubiwszy patynki, przylatuje na pół umarły do magazynu: »Gwałt, gwałt, gwałt! krzyczy.

— Mamy cię przecie raz żydzie! z triumfem zawołał magazyn. Zrzucaj siano, waż a dobrze i nie wiele przebierajcie. Lecz zagalopował się magazyn, bo siano nie do użycia, a żydek pomyślał sobie: »A co macie żyda? J sprawdziło się przysłowie: «Złapał kozak Tatarzyna a Tatarzyn za łeb trzyma.»

Siana nie chcą brać. «Wieź darmo nazad żydzie« Żyd znowu w płacz, lecz już po cichu nieborak płakał. Zmiłowano się nareszcie nad nieszczęśliwym, i siano jako zdatne, przyjęto. Snać przez drogę musiało się poprawić. A pytam się: który szlachcic wpadnie na taki genialny pomysł? Otoż to co ruralis z nad ujścia Wisłoki nazywa: *pojęciem ducha handlowego.*

Wszak przed kilkoma laty mieliśmy tutaj zamożnego obywatela, który pomimo że nie miał brody Samsona, pokusił się naśladować racimorowców. Wziął liwerunek wojskowy, owsa, siana i chleba. Cóż się zaś stało? Oto że wkrótce sam został bez owsa siana a nawet bez chleba powszedniego. Widać że nie pojął dobrze ducha liwerunkowego.

Zwykle płaci się u nas sążeń siana po 8 do 10 złr. Przed dwoma tygodniami rozlecieli się żydki po szlachcie i płacili po 20 złr. Każdy szlachcic mało co nie zwarjował z ukontentowania. A tymczasem pokazało się że żydzi dostawiali to samo siano po znacznie wyższej cenie, lecz o tem nikt nie wiedział, bo żyd wie zawsze o parę tygodni wcześniej a szlachcic o parę tygodni później.

Tu sęk, i dlatego mam ja racyą: że dla szlachcica *krom hańby* niema korzyści z handlu.

Podobne wypadki przytaczałbym in infinitum, lecz już zmęczony, ustąpię tymczasem miejsca w tej materyi któremu innemu koledze: z nad ujścia jakiej bądź rzeki lub strumyka, w przekonaniu że mi dosyć jeszcze zostanie przedmiotów na ciąg dalszy opisu rozkoszy wiejskich.

* Wczoraj o godzinie 7. wieczorem przybył do Lwowa JExc. jenerał zbrojmistrz baron Hess.

* **Opisanie ryciny mód** do poprzedniego numeru dołączonej:

1) Ubranie domowe. Włosy przystrojone rulonem axamitnym, któren się z tyłu wiąże, a z przodu nad tym po kilka pukli. Stanik z baskiną i spodnicą muszlinową z wstawkami i falbanami haftowanemi. Stanik z tyłu wysoko zachodzący, z przodu otwarty, zrobiony jest z samych bufek muszlinowych i wstawek haftowanych. Z przodu są trzy wstawki, jedna z brzegu, druga nad ramieniem, a trzecia pod pachą, z tyłu jedna wstawka przez sam środek plec, a dwie po każdej stronie oznaczające szew. Rękawy z trzech buf wstawkami przełożone, do koła dwie szlarek w zęby haftowanych. Stanik obszyty koronką *valenciennes* 4 do 5 calową do koła. Piętnaście do 16 małych fontazików z tafty różowej, na wstawkach z samego brzegu, małe zaś fontaziki z końcami a drugie bez końców przystrajają stanik dokoła u dołu. Ostatnia wstawka u rękawa również fontazikami i przystrojona do koła. Spodnica o trzech falbanach nad każdą wstawką haftowaną.

2) *Ubior dziewczynki 7 do 8 letniej.* Na głowie rulon z włosów spleciony do koła, z tyłu ubranie z wstążek. Stanik haftowany w muszki i marszczony w pasie i na ramionach z tyłu i z przodu, a spięty z tyłu; ruszką koronkową obszyty koło szyi.

Rękawy krótkie z dwoma szlarkami dzierzganemi, fontaziami podpięte. Stan zaokrąglony; pas z wstążki morowej. Spodnica z jedwabnej materyi. Pończochy jedwabne, buciki z niebieskiej materyi.

3) *Ubior drugiej dziewczynki tego samego wieku.* Kapelusz słomkowy; koło kani i fartuszka ruszką z krepy białej ugarnirowany, a cały małemi fontazikami białemi i półgirlandą z bławatów przystrojony. Pod spodem ubranie z blondyny i bławatków. Suknia z różowej materyi, stanik otwarty z przodu, przystrojony ruszką jedwabną w drabinkę. Stanik marszczony u dołu i na ramionach, rękawy pół szerokie z wyłogami z różowej mory, ruszką obszyte. Połkoszulek wysoko zachodzący, rękawki i spodeńki muszlinowe, obszyte koronką *valenciennes.*

4) *Ubranie małego dziecka.* Czepeczek muszlinowy, haftowany, z ruszką *valenciennes* i wstążeczkami przystrojony. Suknia długa zwana *tabayole*, muszlinowa, haftowana, fontaziami ubrana.

Przyjechali od dnia 16. do 17. sierpnia do Lwowa:

PP. Bielski Stanisław, z Rychcic. Romaszkan Zygmunt, z Uherska. Lewicki Grzegórz, z Nagorzan. Wiśniewski Henryk, z Dobrzan. Komorowski Piotr, hr. z Bilinki. Tomaszewski Aleksander, z Tarnowa. Mörl Emanuel, z Brzeżan.

PP. Jellinek Józef, z Krassowa. Dobrzański Julian, z Milatyna.

Wyjechali od dnia 16. do 17. sierpnia ze Lwowa:

PP. Błoński Grzegórz, do Uniowa. Żawadzki Nikodem, do Krzywego. Smarzewski Nikodem, do Artasowa.

J. O. ks. Schwarzenberg Edmund, do Tarnopola.

Kurs telegrafowany z Wiednia 17. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	120¼.	Medyolan za 300 lirów	118¼.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	140¾.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy . . .	119.	Agio duk. ces.	—
		Srebra agio	21.
Genua.	—.	Pożyczka 5% 86. 4½	—.
Hamburg za 100 tal. banco.	88½.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku . . .	1292
Liwurno.	—.	Kolej północna	—
Londyn za 1 funt szterl.	11. 41.	Obl. ind.	80

Wczorajszy. **Kurs lwowski.** Gotówka towarem.

	Gotówka		towarem	
Dukat holenderski . .	złr. 5	kr. 33	złr. 5	kr. 38.
Dukat cesarski	„ 5	„ 40	„ 5	„ 43.
Półimperyał zł. rosyjski . . .	„ 9	„ 49	„ 9	„ 52.
Rubel srebrny rosyjski . . .	„ 1	„ 53	„ 1	„ 54.
Talar pruski	„ 1	„ 47	„ 1	„ 50
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	„ 1	„ 22	„ 1	„ 23
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„ 90	„ 30	„ 90	„ 50.
Obligacye indemnizacyjne 80 Złr. kr.				

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**